

TADEUSZ LEPKOWSKI  
(Warszawa)

### PO CO HISTORIA?\*

Banalne to pytania, „na co historia” lub „po co historia”, czy wreszcie „dlaczego uprawia się historię”? Powtarza się je stale, bez końca, i chyba będzie powtarzać w przyszłości. Inaczej być nie może, bo przecież równie permanentnie wznowia się pytanie „po co życie i na co”, paralelne do tamtych i uzupełniające zarazem. Człowiek jest zwierzęciem rozumnym a więc — logicznie wnioskując — historycznym. Jest w historii (różnie pojmowanej) i jest historią, a zatem kocha ją i zarazem nienawidzi, stara się ją stworzyć lub dać się jej prowadzić, a zarazem usiłuje się od niej wyzwolić, a próbuje ją i wykorzystuje, a równocześnie przeklina. Cóż dziwnego, że zapytuje o jej sens, że stara się odnaleźć odpowiedź na pytanie o celowość uprawiania (w najszerszym sensie tego słowa) historii, a więc celowość istnienia historiografii.

Znamy wiele odpowiedzi, jakie w różnych czasach padały na pytanie postawione w tytule meksykańskiej książki\*. Uprawia się historię, bo ona po prostu jest, bo jest zwyczajnie ciekawa, bo chce się umiejscowić siebie samego w czasie, bo bez historii nie ma kultury, bo pozwala zrozumieć losy społeczeństw, bo poprzez historię pragnie się uchylić rąbka tajemnicy, której na imię przyszłość, bo bez historii nie ma wspólnot ludzkich, nie ma narodu i świadomej doń przynależności, bo historia uczy i wychowuje, otwierając przepastny skarbiec wzorców i antywzorców, bo lepiej czy gorzej służy polityce, rządzącym i rządzonym, establishmentom i buntownikom, katom i ofiarom, tyranom i męczennikom, bo jest wyrazem wiary w nieśmiertelność.

Recenzowana książka dostarcza nam wiele różnych odpowiedzi, atakuje — jeśli się tak można wyrazić — rozliczne aspekty wielkiego problemu, a czyni to z pasją, w sposób w samym już założeniu otwarty, dyskusyjny, prowokujący do polemiki, ale też dalszych przemyśleń i refleksji. Nie może więc dziwić to, iż wokół pachnącej jeszcze farbą drukarską książki rozpełtała się burzliwa dyskusja na łamach meksykańskich gazet i czasopism.

Czym jest to arcyciekawe i doskonale napisane dziełko? Na książkę składa się, oprócz króciutkiego wstępu-wyjaśnienia pióra Alejandry Moreno Toscano, dziesięć szkiców-esejów napisanych przez wybitnych meksykańskich historyków, politologów, etnologów, pisarzy i polityków. Inicjatywa opracowania tego tomu wyszła od archiwistów, którzy reorganizowali i porządkowali w latach 1977-80 Archiwum Główne Meksyku (Archivo General de la Nación). Ludźmi pracującymi wśród stert papierów miały kolejno i jednocześnie różne uczucia: entuzjazmu i zaciekawienia, bezradności i rozpaczy. Pytali się spoglądając na liczone w grube tomy dokumenty: i po co to, czemu i komu to będzie służyć? Zastanawiali się nad relatywną wartością źródeł, nad sensem historii i funkcjami, jakie spełnia nauka o historii. Zaprosili w końcu grupę intelektualistów i zadali im pytanie postawione w tytule. Odpowiedzi, jakich im udzielono — oto właśnie omawiana książka.

\* *Historia, ¿Para que?*, C. Pereyra, L. Villoro, L. González i in., „Siglo Veintiuno Editores S.A.”, México 1980, ss. 245.

Niewielka, zwarta i treściwa publikacja, jest na tyle bogata, że chciałoby się recenzję zapełnić cytatami. Rzecz jest praktycznie niestreszczalna, bo wielotematyczna i wielowątkowa. Nie tracąc nadziei, że *Historia*,; *Para que?* zostanie udostępniona polskiemu czytelnikowi, poruszę zaledwie kilka spraw, które często a niekiedy nawet stale przewijają się przez karty książki. Winien jednak jestem na wstępie jedno ważne wyjaśnienie. Polski historyk i szerzej inteligent traktuje niemal odruchowo eseje teoretyczno-historyczne powstające poza pierwszym i drugim światem jako wtórne, marginalne i egzotyczne, a w domyśle parafiańskie. Omawiany tom szkiców, to prawda, jest bardzo meksykański, operuje często egzemplifikacją i refleksją meksykańską, lecz zarazem ma wymiar trzecioświatowy i oddech powszechnodziejowy. Dla nas, zwłaszcza dziś, rzecz to ważna i szczególnie ciekawa, właśnie dla nas, co to budując drugą Polskę zbudowaliśmy Trzeci Świat.

Każdy właściwie esej pomieszczony w książce świadczy o tym, że pytanie o sens i funkcje historii nie oznacza po prostu nic, gdy historię pozostawimy w liczbie pojedynczej. Wiele bowiem mamy i historii, i historiografii.

O różnych, całkowicie nieraz odmiennych dziejopisarstwach piszą najwięcej dwaj wybitni historycy: błyskotliwy, czasem sceptyczno-kpiarski Luis González i gruntowny Enrique Florescano.

Pierwszy z nich zastanawia się nad różnorodnym wykorzystywaniem i uprawianiem historii. Wyróżnia ich kilka. Pierwszą nazywa *antykwareczną* (dodaje, iż można ją też określić inaczej, np. jako anegdotyczną, archeologiczną, opowiadającą, przyjemnościową, romantyczną, czy prenakową). Jest lubiana, bo apeluje do serc i nie obchodzi ją ani uogólnienie, ani relacje przyczynowo-skutkowe. Dzieli anegdotę na serie czasowe (lata, dziesięciolecia, wieki...) i przestrzenne (wsie, miasta, prowincje, kraje...). Historia antykwareczna ma pretensje do sztuki, a trzyma się — mimo poszturchiwań a nawet okazywanej je przez naukowców pogardy — bardzo dobrze, wspierana udatnie przez film i telewizję. Smaczny to narkotyk dla mas, ułatwiający błogi sen.

*Historia krytyczna* pyta wciąż dlaczego, jest walcząca, podejrzliwa i wścibska. „Historia krytyczna wydaje się być siostrą przyrodnią powieści kryminalnej: odnajduje zwłoki i ściga przestępców” (s. 61). Jest synonimem aktywnego poznawania przeszłości, angażuje się, burzy i wyzwala. Posługuje się nią buntownik i rewolucjonista, stąd kwitnie w czasach przedrewolucyjnych i w toku rewolucji.

*Historia bronzownicza*, najbardziej pragmatyczna ze wszystkich, z natury dydaktyczna, ma za patronów Plutarcha i Polibiusza. Mimo starości, trzyma się zdrowo, trwa w służbie, krztusząc się bohaterami, obrastając pomnikami i powielając wzorce. „W naszych czasach rekomendują ją z równym entuzjazmem zawodowcy od patriotyzmu i dobrych obyczajów tak w pierwszym, jak w drugim i trzecim świecie. Jest to historia umiłowana przez rządy” (s. 67).

*Historia naukowa* ma za prekursora Tukidydesa i żywi ambicje utożsamiania się ze ścisłymi naukami o człowieku (ekonomia, socjologia, nauka o polityce). Opanował ją ostatnio kult kwantytywizmu. Liczby i statystyki traktowane są z gorliwą dewocją zwłaszcza przez historyków lewicowych, gdyż — ich zdaniem — tylko historia kwantytatywna może oświecić mroki przyszłości. Tyle, że owa historia tego, co mierzalne przyniosła zawód. Danych źródłowych dających się ułożyć w serie i ciągi jest zbyt mało i nic się na to nie poradzi. Mimo wszystko jednak historia naukowa, stwierdza González, pomaga w pewnym stopniu w prognozowaniu przyszłości.

Zadna z czterech wymienionych historii nie spełniła swych obietnic, żadna zresztą nie występuje w zupełnie czystej formie (pierwsza w założeniu miałaby dostarczać przyjemność, druga wyzwalać, trzecia dostarczać wzorców, czwarta być praktycznym przewodnikiem). Oczywiście, że są też możliwe tzw. historie globalne lub integralne usiłujące wskrzeszać. Mogą być w pewnej mierze potrzebne —

stwierdza kpiąco González — a to nostalgikom, rewolucjonistom, sierotom i pianistom. Badania historyczne stanowiły wielokroć bardziej sport niż zawód. Teraz zatracając swój charakter amatorsko-sportowy, a w państwach o ustrojach totalitarnych zupełnie go zatraciły. Dziś rządy wpływają na sposób przedstawiania przeszłości, stymulując pisanie historii, która stanowi legitymację władzy. Dla innych historii władza ma tylko grymas zniecierpliwienia i złości.

Enrique Florescano próbuje ukazać ewolucję myśli i praktyki historiograficznej (warsztat, metody, kwestionariusz pytań) od użyteczności politycznej i totalnej służebności wobec władzy do roli nauki wyjaśniającej rzeczywistość społeczną w czasoprzestrzeni. Historia prenaukowa stanowiła oręż socjotechniczny w ręku panujących. Historia ta była niejako „oficjalnym pamiętnikiem” władzy pisany na zadany temat i miała kształtować dla władzy świadomość historyczną poddanych. W rozumieniu naukowego dziejopisarstwa XIX i XX w. historia stanowiła coś innego: realny proces, który determinuje terażniejszość. Zamiast wychodząc od terażniejszości interpretować przeszłość, wychodzi się od przeszłości, obecnej również w dniu dzisiejszym poprzez kontynuacje dawnych struktur, kumulację doświadczeń i wiedzy, wpływ na obecne zachowania. Florescano omawia wysiłki badawcze historiografii pozytywistycznej, wczesnomarksistowskiej i ambitne próby szkoły „Annales” integralnego ujęcia i badania historii, które koniec końców zawiodły, szkoła bowiem rozbiła się na kierunki i ograniczone strefy zainteresowania (świetna analiza historyczna losów słynnej szkoły francuskiej!). Historycy nie osiągnęli postulowanej i wymarzonej jedności bazy epistemologicznej swej nauki i zgody co do celów, jakie sobie winna stawiać. Obecnie funkcjonują cztery główne kierunki badawcze: pozytywistyczny, neohistoryzujący, „postannalistyczny” i marksistowski. Ten ostatni, zdaniem Florescana, dopiero się tworzy, a jego wartość zasadza się w tym, że jako jedyny stawia jako fundamentalny problem kwestię dlaczego i jak zmienia się i przeobraża społeczeństwo.

We wszystkich szkicach przewija się jedna myśl: historia tak bardzo przenika ludzką egzystencję, kulturę i politykę, tak jest „zależna”, i to podwójnie, od władzy i od emocji społecznych i indywidualnych, że historiografia nie potrafi być nauką w ścisłym znaczeniu tego słowa. Historiografia nigdy nie jest „neutralna” a historyk „bezzstronny”. Dziejopisarstwo przypomina dwugłowego orła, bardzo bowiem trudno oddzielić to, co w historii jest nauką, a co ideologię (Luis Villoro). Widać to rozdarcie choćby wtedy, gdy się rozpatruje sądy wartościujące, które są „nierozłączne od społecznej funkcji historii, lecz obce jej funkcji teoretycznej” (Carlos Pereyra). Ponadto, czy się tego chce, czy też nie, historia nie odkrywa praw rozwoju lub prawidłowości (są to funkcje ścisłych nauk eksplikatywnych), lecz stara się wskrzesić w całej jego złożoności życie ludzkie, objaśnić kondycję człowieka, dlatego też cele historiografii i literatury są w jednym punkcie zbieżne: chcą zrozumieć los człowieka. I jeszcze jedno. Historia jest potrzebna, oznacza bowiem „walkę przeciw zapomnieniu, tej ostatecznej formie śmierci” (Villoro, s. 50).

Znaczna większość autorów książki kładzie nacisk na codzienną, dzisiejszą, społeczną funkcję historii. Rodzi się ona z aktualnych zapotrzebowań i zaciekawień, jest „mistrzynią polityki”, bieżącej oczywiście, waloryzuje terażniejszość, która stanowi „wymiar historyczny a nie moment historyczny” (Arnaldo Córdova, s. 133).

Wszystkie szkice odpowiadają na pytanie o sens historii w odwołaniu się do jej funkcji społecznej, politycznej i kulturowej. Meksykańscy autorzy uznają bądź to otwarcie i programowo, bądź też pośrednio, że historiografia nigdy nie jest nauką czystą, a skoro tak się rzecz przedstawia, to sens uprawiania historii zależy od tego, jak się ją praktycznie wykorzystuje, bo że jest nauką stosowaną to nie ulega wątpliwości.

José Joaquín Blanco deklaruje, iż odpowiedź na tytułowe pytanie książki mo-

że być tylko „dwupłaszczyznowa”. W sensie społecznym czy publicznym historia interpretuje świat, zmienia życie, rozpoznaje korzenie zjawisk społecznych i objaśnia procesy, broni określonych prawd, ujawnia mechanizmy ucisku, umacnia walkę o wolność. W sensie indywidualnym, prywatnym, istnieje po to, „by przeżyć dni, które są tego warte, pogodnie i świadomie” (s. 86). Historii nie można oddzielić od emocji i odseparować od społeczeństwa, które ją tworzy. Ten erudyta, który traci kontakt z ciałem społecznym, które kreuje dzieje, i z ludźmi, którzy za pośrednictwem lektury i dyskusji obcuja z historią, a zatem ten uczony, który ogranicza swe badania do sformalizowania techniki poznawczej, sprawia, że historia traci swe zdolności wyzwoleńcze, nie potrafi demystyfikować, budzić uczucia i sprawić, by człowiek poczuł swą niezależność.

Na milcząco autorzy godzą się ze znaną tezą, że nie ląkną historii społeczeństwa ustabilizowane, żyjące w okresach pokoju i spokoju. Natomiast „wiedza historyczna narzuca się jako użyteczna i potrzebna ludzkim zbiorowościom w epokach wstrząsów, czasach złowieszczych, okresach niepewności lub zmiany przeznaczenia. A czyni to z tak wielką siłą, że sami aktorzy historii popadają w pokusę szukania w niej schronienia i powtarzania jej. Wyzwani do walki przez próżnię przyszłości, rewolucjoniści poszukują w przeszłości odpowiednich modeli dla swego działania: rewolucja francuska odwołuje się do starożytności rzymskiej, bolszewicka do francuskiej, chińska do bolszewickiej, kubańska do swych bohaterów walk o niepodległość, meksykańska do swych liberałów” (Héctor Aguilar Camín, s. 147 n.).

Dzieje Meksyku, zwłaszcza najnowsze, zdeterminowały w dużym stopniu sposób widzenia i interpretacji historii przez meksykańskich intelektualistów. We wszystkich esejach powraca uparcie, rzekłbym jak kompleks winy, sprawa „historii oficjalnej”, czyli siły politycznej manipulowanej a więc i fałszowanej przez państwo. W społecznej swej funkcji, zwłaszcza w okresach postrewolucyjnych, historia ulega rozdarciu, nie tylko w Meksyku. Władza powołująca się na rewolucję chce i musi nawiązywać do dawnej tradycji ludzi uciskanych i zrewoltowanych, a więc historii burzącej, a jednocześnie z roku na rok coraz konsekwentniej konstruuje wykładnię oficjalną, a więc interpretację konserwatywno-autorytarną, „konsolidującą społeczeństwo”, legitymującą prawo do wszechwładzy aparatu postrewolucyjnego państwa. Znamy to dobrze z własnych najnowszych doświadczeń, z naszej historii oficjalnej. Rewolucjoniści obrastają brzoźdźkami, wypadają im młode nawet i zdrowe zęby, a niewygodne buntownicze idee ulegają przemilczeniu, rosną w cenie cnoty ustabilizowanej a operującej rewolucyjnym sloganem władzy oraz wszelkie poglądy umiarkowane i pilnie uwzględniające tzw. rację stanu. Historia staje się apologetyczna i dobrze służy „burżuazji politycznej”. Godzi się tu przypomnieć, że wczesne etapy zawłaszczenia i manipulowania tradycją rewolucyjną oraz historią narodową przez rządzących postrewolucyjnym państwem polskim, opisał w 1958 r. Witold Kula (*Rozważania o historii*).

Rewolucja Meksykańska, do której stale odwołują się autorzy omawianej książki, była skomplikowana, wielofrontowa, antyschematyczna. Składała się z różnych antagonistycznych nurtów. Na obu jej biegunach stały: chłopsko-proletariacki anarchizm i wypieszczony przez klasę średnią populizm (idea wieloklasowego i „ponadklasowego” państwa ludowego). Zwyciężył etatyzm. Dzisiejsi historycy meksykańscy kochają swe państwo i nienawidzą zarazem, przyzwyczajali się je chwalić, lecz coraz częściej przypisują mu to, co najgorsze. Po wstrząsie 1968 r. (do czego jeszcze powrócę) w historiografii i historiozofii dominuje krytycyzm wobec zinstytucjonalizowanej rewolucji, rządzącej Rewolucyjnej Partii Instytucyjnej i jej demokratycznego autokratyzmu. Swoje kłopoty i doświadczenia z państwem historycy meksykańscy przenoszą na całość powszechnej historiografii. I w dużym sto-

aniu mają rację. Poprzez szkołę, urzędy, manifestacje państwowe i wiece patriotyczne, propagandę w środkach masowego przekazu państwo (również to najbardziej demokratyczne i liberalne) kontroluje przeszłość i interpretację przeszłości. Historia istnieje dlatego, że istnieje państwo-naród, a państwo-naród istnieje ponieważ istnieje historia. Państwo, pisze Carlos Monsiváis, stało się właścicielem bohaterów, a „pomniki stawia się po to, by przypomnieć historii o tym, o czym powinna myśleć” (s. 180). Historia oficjalna — kontynuuje Monsiváis — powstaje na mocy dekretów i podlega publikacji (historia ludowa i historie indiańskie, sztucznie zlepione w jedną przez konkwistadorów i ich następców, są zaledwie opowiadane i nie dostępują zaszczytu ogłaszania w druku). Historia oficjalna, jak samo państwo, jest i pozostaje formą dominacji. Historia pod naciskiem państwa staje się instrumentem zachowania iluzorycznej wspólnoty tych z dołu i tych z góry. „Jest to historia państwa, historia w s z y s t k i c h, opowiedziana przez ideologów warstwy wyższej, która zawłaszcza nawet bohaterów z innych warstw (jeśli nie może ich całkowicie zlikwidować) i wyklucza ich ze swej historii” (Adolfo Gilly, s. 211).

Lecz państwo populistyczne, pozornie wszechobecne i wszechkontrolujące, wychowuje swego własnego grabarza, a jeśli nawet nie grabarza to surowego krytyka, który upomina się któregoś dnia o swoje prawa do własnej, prawdziwej historii. Demagogiczne hasła władzy lud bierze w pewnym momencie na serio i domaga się ich realizacji. Żąda też zwrócenia mu historii. Momentem przełomu i początków odkłamania historii był niezapomniany w Meksyku rok 1968. Stale obecny w świadomości meksykańskiej cień masakry na Placu Trzech Kultur, cień Tlatelolco, to nie tylko wspomnienie incydentu — jak go nieraz przedstawiają w Europie — w obrębie studenckiego buntu. To przejaw głębszego kryzysu, to obnażenie krachu pewnego systemu, który wprawdzie przetrwał, lecz który nie jest już taki jak przed 1968 r. Wielkie przesilenia, kryzysy, przełomy odkrywają na nowo historię, jej sens. „Rok 1968 rozbił na kawałeczki empiryczną religię nauk społecznych, przypominając przelaną krwią, że era Rewolucji Meksykańskiej jest nasza” (s. 134). W tym roku kraj stracił zaufanie w dobroć teraźniejszości i przestał wraz z rządem świętować swoje „osiągnięcia”. Był to kryzys moralny, polityczny i psychologiczny, była to „krwawa zapowiedź tego, że czasy się zmieniły a nie zmieniły się recepty, które miały im sprostać” (s. 151). Historia żywa, robiona przez lud, obudziła dawną historię i nadała jej sens nowy. Salwy 68 roku pobudziły nową świadomość historyczną. Od tego czasu rozpoczęła się nowa historia Rewolucji Meksykańskiej: spory między caudillos nie przysłaniały czynów rewolucyjnych, chłopskich armii.

Czas już kończyć. I tak nie wyczerpię bogatych treści małej książeczki. Prawdziwie ożywcza jest atmosfera esejów, które dają wiele odpowiedzi i żadna nie jest definitywna, każą myśleć, ukazują żywą historię, wiele funkcjonujących, a także martwych i półmartwych historii, i namawiają, by przeżyć historię świadomie. Raz jeszcze dowiedzieliśmy się, że historia-dzieje i historia-dziejopisarstwo to potęgi wspaniałe i straszne zarazem. Nie warto pytać tych superpotęg po co istnieją, raczej jak mają istnieć, czemu służyć, jak je opanować, by stały się potrzebne ludziom. Jedno jest bezsporne. Niektóre historie są szkodliwe i oby znikły bez śladu, inne są i będą, przynajmniej potencjalnie, pożyteczne. O dzieje się nie martwmy. Zastanówmy się raczej, co uczynić, by historia-nauka i historia-świadomość stały się siłą twórczą. Jak wziąć je we własne ręce? Czy to jest możliwe? Miejmy siłę w to uwierzyć, ale żeby osiąść tę siłę, historycy, ba, ludzie zwykli muszą nie tylko myśleć i działać roztropnie, muszą mierzyć siły na zamiary. Romantycznie i rewolucyjnie.